

Cud nad Wisłą

SZTUKA PATRJO TYCZNA
W 4 AKTACH A 5 ODSŁONACH

PRZEZ
J. S. ZIELIŃSKIEGO



584582

P.T.

142

“CUD NAD WISŁĄ”

Sztuka patriotyczna w 4-ch
aktach a 5-ciu odsłonach.

Ku uczczeniu pamięci poległych
Bohaterów i Bohatek w czasie
wielkiej ofensywy w Sierpniu
1920 roku, pod wodzą Generała
Hallera, pogromcy bolszewików
pod Warszawą, napisana przez
J. S. Zielińskiego, znanego artys-
tę i reżysera teatrów polskich
w Ameryce, dnia 9-go września
1925 r. w Chicago, Ill., Półn. Am.

Nakładem
W. H. SAJEWSKI
1017 Milwaukee Ave.
Chicago, Illinois

OSOBY:

PANI SKWIERCZYŃSKA, obywatelka Warszawy
JAN, jej syn
MARJA, żona Jana
ZYGMUNT SKALSKI, przyjaciel szkolny Jana
ZOSIA MILUSZEWSKA, narzeczoną Zygmunta i
przyjaciółka Marji
FELEK X. } andrusi warszawscy
ANTONI WOLSKI }
ABRAHAM, żyd, drobny kupiec
SZPIEG TROCKIEGO, elegancki młody Niemiec
KAPITAN WOJSK POLSKICH
POLICJANT
IWAN, dezerterski z armii bolszewickiej
OFICER ROSYJSKI
ŻOŁNIERZ POLSKI
Andrusi, żołnierze, tłum.

- AKT I. — Przed domem pani Skwirczyńskiej w Warszawie w lipcu 1920 r.
- AKT II. (Odłona pierwsza) — Parę dni później w lesie.
- AKT II. (Odłona druga) — Następny dzień w polskim obozie.
- AKT III. — W sierpniu dnia 4-go, w polskim obozie.
- AKT IV. — Cud nad Wisłą, dnia 15-go sierpnia 1920 roku, w domu pani Skwirczyńskiej.

PROLOG.

Posłuchajcie cichej opowieści,
Posłuchajcie strasznej opowieści...
A działo się to wszystko w gorące południe,
Kiedy prażyły skwarem zsiniałe niebiosa
I była cisza bezgłosa
I chwile wlokły się żmudnie.
Na głowach im hełmy ciężły stalowe.
Broń rozpalona z rąk im wypadła...
W skwarze.
żarem dyszały pola ciche, płowe,
Na których czarne linje okopowe
Wiły się węzłem po martwym obszarze.
O błoga ciszo! O, lenistwo błogie,
Strudzonych walką wczorajszych żołnierzy!
I... nagle, wśród tej ciszy, pomruki srogie...
I nagle hębny na trwogę!
Trąba alarmu w tym skwarze przejęła ich mroczni,
Lotnik — wróg nad obozem!
W powietrzu upalnym płynie,
Turkocą djabelskie śmigła.
Nastawiać armaty! Niech ginie!
Prędej! prędzej! Bodaj go pierwsza kula
[doszła].
Strzelać, strzelać — tam — do góry!
W chmury,
W słoneczny blask,
Zasypać go kulami,
Jak gradem, bić granatami.
Trzask! trzask! trzask!
Patrzcie, rzuca pociski,
Patrzcie, na wasze leże

Dynamit ciska.
Strzelać, strzelać żołnierze!
Nienawiść z oczu błyska,
Nienawiść kulami miota,
Kulami zatrutemi,
Nienawiść z ziemi do nieba,
Nienawiść z nieba do ziemi.
Buchają ogniem armaty,
Zabić, zabić go trzeba,
Zacięta walka szaleje,
Nad sobą, nad sobą go widzą,
O, jakże go nienawidzą.
Wściekłością każdy zijeje,
Niech spadnie przeklęty gad,
Wrą nienawiścią śmiertelną,
Zabić, zabić go trzeba,
Zabić, zabić go trzeba!
O! nieba!

Wreszcie trafiony kulą celną,
Zmiażdżony na ziemię spad!

UWAGA: — Prolog ten powinien mówić aktor,
który gra rolę kapitana wojsk polskich.

AKT PIERWSZY

Scena przedstawia miejsce na jednej z bocznych ulic w Warszawie. Po lewej od widowni na froncie dom zamieszkały przez panią Skwierczyńską.

SCENA 1.

Za podniesieniem kurtyny wchodzi pani Skwierczyńska; wychodzi z domu, mówiąc do wewnątrz.

Pani S. Dobrze moja kochana, tylko pójdę do sklepiku, zaraz wrócę.

Marja (z domu). Tylko prędzej mateczko, bo Janek zaraz przyjdzie na obiad.

Pani S. Pośpieszę się. (Wyszła w przeciwną stronę).

SCENA 2.

(Antek za sceną krzyczy; potem wchodzi szpieg).

Antek: Kurjer poranny, Gazeta codzienna, najnowsze wiadomości z frontu żydowskiego. (Wchodzi na scenę).

Szpieg (przechodzi w milczeniu).

Antek (do niego): Może kurjerek panie szanowny. Trocki w tarapatkach, bo mu cebuli zabrakło dla czerwonki i cała armja bolszewicka kataru dostała, a może Gazeta Codzienna?

Szpieg: Daj mi Kurjer — wydaj resztę! (Daje mu banknot 1000 złotych).

Antek: Panie! Jak pragnę jedyne, nie mam reszty; wyszedłem z domu naczco jeszcze ani jednego numerku nie sprzedał, pan pierwszy i pewno będę miał cały dzień szczęście.

Szpieg: Hum... To zatrzymaj sobie. (Wychodzi za dom).

Antek: Widzisz go, osoba, reszty mu dawaj; dał mi tysiąc marek i co to jest tysiąc marek, prawie że wystarczy na bochenek chlebusia — a gdzie kiszka do chleba — a w domu familijka czeka na wyzerkę, a te mareczki takie lekuśkie jak panna w Krynicy po dyjecie, że ani ich utrzymać. Widzisz go, reszty mu daj. — Kurjer Poranny, Gazeta Codzienna. — Odwrót polskiej armji, bo cebulą ich bardzo zajechało od Trockiego.

SCENA 3.

Marja: Proszę Kurjerek. (Daje mu pieniądze).

Antek (w susie): Służę pani... Najnowsze wiadomości. Polacy cofnęli się na południe od Kijowa z Równa, żeby linja bojowa była równa. (Marja wychodzi; nadchodzi żyd Abraham). Kurjerka panie starozakonny, Trocki wygrywa na całej linji. (na stronie) Ale na grzebieniu...

Żyd: Dawaj mi Codzienną. (Bierze i płaci).

Antek: Czy aby dał dobrze? (Liczy pieniądze i odchodzi).

Żyd (czyta). Prawdę mówisz, wojska bolszewickie zdobyły Równo, chociaż bez wielkiej opozycji naszych polskich wojsk. — A w naszym piśmie pisze, że polacy cofają się na całym froncie 720 mil długim... Mądry ten Leosz Trocki — zdobędzie Polskę — to wtedy będzie dla nas żydków raj... polska ziemia obiecana... to będzie nasze Palestyna. Aj waj! waj!

ŚPIEW.

Leosz weźmie Warszawę, aj waj, waj!
Wpadnie z krzykiem i wrzawę, aj, waj, waj!
I z Polski zrobi on raj, co mu ty Jehowe daj,
Aj waj waj, będziem mieli raj.

Poco nam Palestyny aj, waj, waj,
Tam są dzikie zwierzyny, aj, waj, waj.

A tu ptaszki, cały maj, szpiewa sobie
[w dziki gaj,

Aj, waj, waj, będziem mieli kraj.

Po co szukać wigodę, aj, waj, waj. —

Wiśła duża jest wode, aj, waj, waj. —

Śledzie będziem chowali i na szabas łapali,

Aj, waj, waj, wtedy żydkom graj. —

Moje Sare buży da, aj, waj, waj!

Jak z miodem makagiga, aj, waj, waj!

Jojne, Ajzyk, Ruchełe, kupa dzieciów,

[wesele,

Aj, waj, waj, to mi będzie raj.

Żyd (mówi): A ja sobie zaraz założę pierwszorzędnny skład od szledzi, kawioru i inne sardynki; nu i poco nam Palestyny, no co?

SCENA 4.

Żyd i szpieg.

Szpieg: Czekam tu na ciebie od 9-ej rano. Dlaczego tak późno przychodzisz?

Żyd: Jak ja mogłem wcześniej przyjść, kiedy tamten drugi przyszedł do mnie dopiero o 10:30; to ja zaraz się zabrałem tu do pana, gdzie pan miał czekać.

Szpieg (ogląda się): Przyniósł ci papiery?

Żyd (tajemniczo): Mam rozkazy głównej komendy i plany generalicji. (Daje mu paczkę pokryjomu).

Szpieg. Tu masz pieniądze, (daje mu) a Trocki odwdzięczy ci się, gdy będzie już w Warszawie, ja podam cię do raportu.

Żyd: Ja miszlę, co on powinien, za tyle strachu co ja szę najadłem gdym tu szedł z tymi papierami, on powinien zrobicz mnie ministrem od fajansów.

Szpieg: Następnie pamiętaj dać znać swoim, aby na czas bombardowania Warszawy usunęli się z miasta, a ty pojedziesz ze mną, tak jakżeśmy się umówili. — Cicho, ktoś nadchodzi, nieznany się. (Odchodzi).

(Żyd prędko czyta i wychodzi w przeciwną stronę).

SCENA 5.

(Jan ogląda się za szpiegiem, potem Marja).

Jan: Ciekaw jestem, co to za jegomość? Dość często widzę go kręcącego się w naszej okolicy, a szczególnie tu koło mego domu.

Marja (z gazetą wchodzi): Janku, już jesteś? Obiad zaraz będzie gotowy.

Jan: Maniu, spojrzysz tam, widzisz tego jegomościa z bródką, czyś ty go nie zauważyła kiedy?

Marja: Owszem, od jakich dwóch tygodni zauważyłam, jak często przechodzi po naszej ulicy. Może tu gdzie blisko mieszka?

Jan: Możliwe. (Siada na ławeczce). Och! jaki jestem zmęczony, z przyjemnością odpocząłbym po południu. (Bierze od Marji gazetę). Dzisiejszy?

Marja: Tak poranny... (patrzy za matką).

Jan (czyta w milczeniu): Ciekawie się ważą losy obecnej walki na froncie bolszewickim. Czytałaś to?

Marja (podchodzi do niego i staje w tyle).

Jan (czyta): Odezwa do miasta Warszawy. Rada Obrony Narodowej, będąca dzisiaj dyrektoryjatem Polski, wzywa specjalnym manifestem, wydanym do narodu, wszystkich ochotników do walki z nadciągającą nawałą bolszewicką. Niezdolnych zaś do broni, wzywa się, aby zajęli miejsca urzędników, którzy pójdą na linię obronną. Nadszedł decydujący moment, w którym los Polski się rozstrzygnie. Zapewnia się żołnierzy, że w razie kalectwa, rząd będzie im płacił pensję, a ich rodziny dostaną zaopatrzenie rządowe. Formowanie armji ochotniczej, powierzone Generałowi Hallerowi.

Marja: Jestem pewną, że cała Warszawa stanie jak jeden...

Jan: Napiętnowany powinien być każdy, któryby się chciał od tego obowiązku uchylić. Wszyscy młodzi pójdą!

Marja: Janko... (ze strachem) A ty?

Jan: Czyż mam być gorszym od innych?

Marja: Jezus... ja nie pomyślałam o tem, a tu... (urwała, nie wiedząc co mówić).

SCENA 6.

Ciż i matka.

Matka: O! Jasiu już powrócił? Ale cóż takie milczenie?

Marja: Mamo droga... ja go utracę! (płacze na ramieniu matki).

Matka: Cóż się stało?! Janku?!

Jan: Formuje się armja ochotnicza dla powstrzymania nawały bolszewickiej, no i pewno ja...

Matka: To jeszcze może nic pewnego? Może tak źle nie będzie. Siadaj Janku, zmęczony pewnie jesteś pracą?

Jan: Tak, bardzo, i tak pragnąłbym odpocząć po południu; tak mnie coś ciągnęło do was, jakby tu się miało stać coś niezwykłego.

Matka: Ach, to tylko takie ciężkie myśli przyszły ci do głowy.

Marja: Janku, rozwesel twarz, niech się uśmiecha do nas, nie czyńmy przykrości matuchnie, ona nas tak kocha. Powinniśmy jej słodzić chwile starości.

Jan: Tak mamó, dziś kiedy jesteście tak szczęśliwym małżeństwem, pragniemy abyś i ty przy nas była szczęśliwa.

Matka: Dzieci moje. (Tuli ich).

Marja: Znam was oboje, jako jedynych moich opiekunów. Nie znam ani ojca, ani matki mojej. Ty mateczko wzięłaś mnie na wychowanie gdy byłam jeszcze niemowlęciem, sierotą, po śmierci mych rodziców, karmiłaś mnie miłością szczerą i uczciwą — potem oddałaś mi swego syna, który jest moją gwiazdą życia.

Jan: Droga Maniu...

Matka: Zawsze pragnęłam widzieć was szczęśliwymi i los nie odmówił mi tej łaski. Spokojnie będę mogła przenieść się tam, gdzie garstka ziemi rzucona przez was, będzie dla mnie ostatniem pożegnaniem.

Jan: Nie mów tak mamó... To daleko jeszcze...

Marja: Po co dziś o tem wspominać, gdy słonko szczęścia przyświeca naszemu gniazdku, pocóż wspominać o tem, czego nikt zmienić nie zdoła. Bo i któż oprze się prawu natury.

Matka: Tak, nikt nie jest w stanie oprzeć się woli Boga, bo on jest panem życia i

śmierci, a chociaż niewyraźne chmury pokazują się na widnokręgu naszej kochanej Polski, to jednak burza przejdzie i znów dzieńek zajaśnieje. Tak moje dzieci! Chodźmy do mieszkania, bo słowami nie nakarmimy Jana, a taki smaczny obiadek żonka ugotowała. (Odchodzi).

Jan: Będę jadł z apetytem.

Marja: O, mama to zawsze mnie tylko chwali. (Odchodzi).

Jan: Złego tylko ganią, a dobrego chwalą. (Odchodzi za nią).

SCENA 7.

Zosia wbiega, za nią Szpieg.

Szpieg: Chwileczkę panienko!

Zosia (staje przy drzwiach): Dlaczego mnie pan prześladuje od paru dni, ja pana nie znam.

Szpieg: Chyba nie ubliżyłem tem pani, że uwielbiam ją...

Zosia: Ha, ha, ha! Romans z ulicy, do prawdy, że w "Musze" lepszego by nie znalazł. Przepraszam...

Szpieg (zastępuje jej drogę): Pani, błagam wysłuchaj mnie i puszczę cię wolno. Proszę!

Zosia: Na ulicy znajomości nie zawieram, a przytem pan mówił, że mnie uwielbia, więc powiem panu prosto z mostu — zapóźno — mam już narzeczonego.

Szpieg: Ja wiem, jest porucznikiem w polskiej armji. Ale on może już nie wróci, teraz straszna wojna, u bolszewików wielka sła.

Zosia: Eee... co tam taka siła. Niech się tylko nasi chłopcy zbiorą i dmuchną, to sam Trocki wywróci się na tyłach armji czerwonej.

Szpieg: Jak widzę, to pani ma silną wiarę w zwycięstwo...

Zosia (ostro): No a co? Może pan wątpi?

Szpieg: Nie bynajmniej... tylko, że ja nie lubię o wojnie rozmawiać.

Zosia: A ja przeciwnie, lubię wojnę i dlatego wysłałam Zygmunta do wojska.

Szpieg: A czy pisze do pani?...

Zosia: Codziennie dostaję listy, takie słodkie... Ha, ha, ha...

Szpieg: Pisze co o wojsku, o stosunkach?

Zosia: Co mnie pan tak indaguje, czy jesteś może szpiegiem Trockiego? Proszę zejść mi z drogi! (chce iść).

Szpieg: Jak pani może mnie tak posądzać, czyż ja wyglądam?..

Zosia: Hum... Wie pan co? Jakby tak panu powiedzieć prawdę, to pan ma za dużo czasu do chodzenia za mną i za porządnie chodzi pan ubrany jak na dzisiejsze czasy. Tacy ludzie są bardzo podejrzani.

Szpieg: Jestem bogaty, więc nie potrzebuję pracować.

Zosia: Czyli jednym słowem, jesteś pan pasorzytem społeczeństwa. Jesteś pan zdrow i jak widać silny, więc powinieś się pan wstydzicie chodzić bezczynnie, podczas gdy inni ciężko pracują, lub na wojnie krew przelewają. Lepiej do roboty weź się próżniaku, a nie za pannami włóczyć się! A teraz precz mi z drogi, bo będę krzyczeć!

Szpieg: Wpierw dasz buzi. (Chwyta ją).

Zosia (szamocze się): Pomocy, ratunku!

SCENA 8.

Ciż, Jan, Marja i Matka.

Jan: Co się tu dzieje? (Uderza szpiega pięścią w głowę, który się wywraca; Zosia chowa się za kobiety).

Zosia: On napadł na mnie i chciał mnie pocałować.

Marja: To szubrawiec.

Jan: Teraz wiem dlaczego się tu kręcił koło mego domu, boś sobie tu ofiarę upatrzył.

Zosia: Zawsze gdym z domu szła tu do was, to on szedł za mną, a dziś ośmielił się mnie zaczepić.

Jan: Precz stąd i więcej się tu nie pokazuj na naszej ulicy, bo cię każę aresztować. Włóczęga! (Wchodzą wszyscy do mieszkania).

Szpieg: A to ma twardą łapę, wszystkie gwiazdy zobaczyłem... (dotyka twarzy). Szczęście, że mi szczęki nie wybił.

(Antek wchodzi, licząc po cicho pieniądze i słucha co szpieg mówi).

Szpieg: Mógłbym go jak psa zastrzelić, ale nie chciałem robić zbiegowiska, bo jeszcze bym był gotów sam wpaść w pułapkę, ale poczekaj, niech tylko bolszewicy wejdą do Warszawy, to ja będę wtedy miał prawo do ciebie.

Antek: Acha! Szpicel, tu cię mamy...

Szpieg (chwytając za tylną kieszeń i ucieka w lewo).

Antek: Hej! Policja, przędzej, tu szpicel Trockiego! (biegnie za nim). Felek, trzymaj go, łapcie go! (Wybiega, za nimi po chwili przebiega policjant, 2 żołnierzy, andrusi i

jeżeli jest gromada ludzi. Za sceną słychać głosy: Trzymaj łapaj!... Dwa strzały. Szpieg przelatuje z rewolwerem w ręku, zrywając brodę i wąsy, ogląda się i ucieka za dom. Po chwili wbiegają: Jan, Marja, Zosia, i Matka).

Jan: Co się dzieje? W pobliżu strzały?

Marja: Uważajmy...

(Przebiega policja i andrusi za policją z kijami. Wchodzi Antek, trzyma się za lewą rękę blisko ramienia).

Matka: Matko Boża, co się stało?... Kto ranny? Gdzie? (Marja z Zosią biegną po wodę).

Antek: Odkryłem szpicla bolszewickiego, gdy tu pod drzwiami komuś wygrażał; zawołałem policję, goniliśmy go, a on strzelił dwa razy i jedna kula mnie spotkała, a on uciekł.

(Zosia i Marja opatrują mu ranę).

Jan: Skąd wiesz, że to szpieg?

Antek: A bo jucha na cały głos gadał, "Czekaj tylko tu bolszewicy wejdą do Warszawy, to ja będę miał prawo do ciebie".

Jan: To ten, który ciebie zaczepił Zosiu!

Zosia: To też nie napróżno chciał się dowiedzieć co Zygmunt pisze do mnie o stosunkach we wojsku...



Matka (przy Antku): Niewielka rana — szczęśliwyś chłopcze, że kula wyszła i kości nie naruszyła.

Antek: Ale zły jestem, bo dzisiaj chłopaki zbierają do wojska i ja też myślałem, a tu o... muszę w domu zostać.

Jan: A ja?

Marja (rozumie go): Janku!!

SCENA 9.

Ciż i Felek.

Felek: Antek, on uciekł!

Wszyscy: Uciekł?

Felek: Gdzieś przepadł jak kamfora i nikt nie widział pana z bródką aby uciekał.

Antek: Bodaj gdzie giry połamał. — Dziękuję państwu za pomoc. A panienka to umie; dobra by była za siostrę czerwonego krzyża. Do widzenia państwu, muszę się dowiedzieć ilu idzie do Generała Hallera armji. Serwus. (Odchodzi).

Matka (do Zosi): Dziecię drogie, uniknęłaś sieci straszego pająka, któryby zgryzł twą duszę i ciało...

Zosia: Ileż podziękowań zasyłam Bogu!

SCENA 10.

(Za sceną śpiew w oddali)

Kiliński był szewcem, podburzył on
[Warszawę,

Podburzył on Warszawę.

Wyprawił moskalom weselisko krwawe.
(Dalszy śpiew ciszej — mormorando).

Matka (w tyle): Biedni, kochani bohaterzy, zbierają się, zgrzewając się starą pieśnią do walki...

(Jan niespokojny; Marja patrzy w stronę śpiewających: to na Jana — rada by go posłać, rada by i zatrzymać przy sobie — wydać walkę).

Zosia (na froncie): Dobra bym była za siostrę Czerwonego Krzyża.

Matka: I pójdą w ogień piekielny, aby przetopić ból, żal, zapał, walkę, z której się rodzi wolność narodów.

SCENA 11.

Ciż i policjant.

Policjant: Przepraszam, czy tu mieszka pan Jan Skwierczyński?

Jan: To ja...

Policjant: Wezwanie z komendy, jako tegorocznik...

Jan: Stawię się natychmiast. (Policjant odchodzi. **Marja chwieje się**). Marjo odwagi... powinniśmy się cieszyć, bo czem więcej nas pójdzie, tem prędsze zwycięstwo.

Matka: Idź, dziecię drogie, ratuj to co jest nam święte... idź i bądź mężny, a my tu będziemy Boga prosić, abyś szczęśliwie wrócił, jeżeli nie będziesz miał być przeznaczony na wieczną ofiarę ojczyźnie.

Jan: Mamo, nie pohańbię naszego rodu, i nie powstydzi się mnie moja żona... prawda Marjo?

Marja (panuje nad sobą): Prawda Janku. (Stara się uśmiechnąć).

SCENA 12.

Ciż i Antek w czapce żołnierza i z karabinem.

Antek: Przyszedłem państwu powiedzieć, że mnie uznali za zdolnego do bitki, i już mnie wyposażyli o... (Pokazuje karabin).

Jan: Pójdziemy razem...

Antek: I pan też! Czem więcej, tem lepiej.

Matka: Czy dużo się zebrało?

Antek: Paniusiu droga, czy dużo? Wszyscy — starzy, młodzi a nawet dzieci. Na pierwszy zew pośpieszyła młodzież szkolna. Co za pochód wspaniały, jak na Boże Ciało. Są

tam nawet i tacy, którzy siłą nie doróśli do trudów wojennych — nawet i dzieci — wszystko idzie. Naszych się zebrało przeszło tysięcy, jakby jeden — ze Starego Miasta, — z nad Bugaja — z Mokotowa — z Pragi — wszystko to bractwo się spakowało na Skarbowe, z siekierami, nożami, kosami, z czem kto mógł. "Ojczyzna w niebezpieczeństwie"! ten okrzyk wystarczył, abyśmy młodzi pierśmi, nawet dziecięcemi, zasłonili przed wrogiem stolicę naszą polską.

(Śpiew za sceną w dali).

Tysiąc walecznych opuszcza Warszawę i t. d.

Matka: Klękajcie obaj! (Klękają, **Marja tuli Zosię, ocierając łzy**). Idźcie i walczcie mężnie i niech Was i wszystkich tamtych Bóg ma w swojej opiece, a jeżeli który z was zginie, to śmierć jego będzie zapisaną złotemi literami w księdze zwycięstwa Polskiego, jako bohaterzy z cudu jedności.

(Śpiew słychać głośnie).

Kurtyna powoli opada.

Koniec aktu 1-go.

AKT DRUGI

Odsłona pierwsza.

Scena przedstawia gęsto zarośnięty krzakami pagórek — dobrze by było aby po prawej stronie od widzów — w tyle dekoracja przedstawiająca góry skaliste, tak aby sama scena przedstawiała początek wąwozu, w tyle parę, a koniecznie przynajmniej jedno drzewo pojedynczo stojące. Za podniesieniem kurtyny po scenie chodzi szpieg, na ziemi z lewej, lub na pniaku, siedzi żyd Abramek, zjadając chleb. W dali słychać od czasu do czasu huk dział pojedynczo.

SCENA 1.

Szpieg: Dlaczego tak długo nieprzyjeżdża, przecież już być powinien, ja tu nie myślę narażać swego życia.

Żyd: Nie lepiej to było zostać w nasze kochane Warsiawe?

Szpieg: Nie mogłem dłużej zostać, po pierwsze, że mnie wysłędzili, a powtóre musiałem tu przybyć, aby im oddać te papiery.

Żyd: To poco czekać tutaj? Niech pan tam do nich idzie.

Szpieg: Czyś oszalał, i tak jesteś po stronie linii bolszewickiej, lada chwila i tu może jaka kula zabłądzić.

Żyd (zrywa się): Aj waj, gdzie jemu jest? Szpieg: Cicho, nie rób hałasu, bo może tu gdzie być w bliskości polski patrol wywiadowczy i co wtedy... (Huk armat).

Żyd: Chodźmy stąd, chodźmy stąd, bo może tam we wsi moja Sara płacze za Abramkiem...

Szpieg: Idź sam, ja tu muszę czekać na tego oficera, a potem wyjeżdżam do Berlina, niech mi tylko zapłacą, bo ta sprawa z Warszawą, to nie bardzo mi się podoba, na jeden zew, zerwali się wszyscy, cały naród, nawet zaułkowa hołota wyruszyła z legowisk.

Żyd: Oj, joj! Te łapserdaki, to bez butów chodzą, ale jak sze oni biją, oj, waj! Nieraz widziałem na Mokotowskie, albo na Gęsi gas, uj, uj, uj. (Huk silny). Oj waj mamefe. Chodźmy stąd panie, bo będzie wojna.

Szpieg: Cicho, słyszę trzask gałęzi, to patrol polski.

Żyd: Oj, waj! uciekajmy!

Szpieg: Cicho bydle... chodź, ukryjemy się tu w wąwozie, ja tam mam kryjówkę. (Ciągnie go ze sobą).

SCENA 2.

Zygmunt, Jan, Antek, Felek i dwóch żołnierzy wchodzą powoli i ostrożnie, po chwilowem rozglądaniu się Zygmunt mówi.

Zygmunt: Tu się zatrzymamy, dalej nie pójdziemy, gdyż i tak wkradliśmy się za daleko. Musimy być ostrożni. Chłopcy zachowujcie się jaknajciszej.

Antek: Siedzimy jak ostrygi w skorupie.

Zygmunt: Pilnujcie, a my trochę odpoczniemy bo już mnie oczy boją od patrzenia przed siebie.

Antek: Dobrze, panie poruczniku. Wytrzeszczajta gały. (Obserwują, leżąc na boku).

Zygmunt: Jakąż mi radość sprawiła komenda, że cię tu przysłali pod Baranowice i przydzielili do mego szwadronu, drugie tyle nabrałem otuchy do walki i mam nadzieję, że wrócimy razem.

Janek: Biedna Zosia nie może się doczekać twego powrotu.

Zygmunt: Hm. Niewiadomo kiedy to nastąpi. To jest ostateczny nasz odwrót. Wyszedł rozkaz, że z tej linji nie wolno nam się cofnąć, linja ta ciągnie się od Wilna, tu przez Baranowice, kanał Ogińskiego, aż do Styru i Zbrucza. — Kochana Zosia, czemże ja jej wynagrodzę ze jej wierną miłość?

Jan: Miłością Zygmunćie, ona ciągle się modli abys szczęśliwie wrócił.

Zygmunt: Pocziwa, jej wiara dotąd ocalała me życie, gdy wrócę, zaraz pójdziemy do ołtarza.

Jan: Wszyscy tego pragniemy. Ja się martwię o Marję; biedna, tak niespodziewanie zaskoczyła ją ta rozłąka ze mną; w pół godziny już byłem w koszarach a na drugi dzień jechałem tu do ciebie z innymi.

Zygmunt: Ciekaw jednak jestem kto to mógł być taki, ten coś mi mówił o nim, że zaczepił Zosię?

Jan: Okazało się, że to był szpieg Trockiego. Ale niestety uciekł i nie mogli go złapać.

Zygmunt: Mój Boże, żebyś mi go tak zesłał w moje ręce.

Antek: Ja go za pana porucznika poczęstowałem kamieniem w plecy, jak uciekał.

Zygmunt: Dziękuję ci.

Antek: Cyt... bacznosc... wróg. (Wszyscy chwytają za broń).

Zygmunt: Ilu ich jest?

Antek: Tylko jeden człapie sobaka.

Zygmunt: Nie strzelać!

SCENA 3.

Ciz i Iwan, uciekinier bosy, wynędzniały z karabinem.

Zygmunt: Poddaj się! (Mierzy w niego).

Iwan (unosi ręce w górę z karabinem, który Antek mu odbiera): Hospodi pomiiuj. Niestrelajcie, paniczy zołotyje. Ja do was idu, kak do swiatowo Nikołaja, niestrelajcie.

Zygmunt: Pilnujcie tam! (do Iwana) — Ty sam?

Iwan: Sam! Jej Bohu sam! Ni sobaki so mnoj niema.

Zygmunt: Dokąd?

Iwan: Ta do was zołotyje polaczki, do was! Ta czort ich pobieru etich żydów. Wot jewrej parszywyje, każut' bit' da jest' nie dadut, ta czort z nimi.

Zygmunt: Jakto, uciekasz z wojska?

Iwan: Ta co tam uciekam, niechoczu wojowat', ot i wsio. Komu służył? Żydam? A nu ich duszu matieru czort pobieri, ta nie-tolko ja; cztob oni znali cztob wy ich polaczki wozmiotie, tak oni by sotniami przyszli k'wam.

Zygmunt: Bieda u was?

Iwan: A wot! Bosyj! Tri dnia nie jet kuska chliba, tolko wody dali i wodki. Onie

każut', cztob kak wazmiom Warszawu, to budiem wsie żyt' kak car Nikołaj wtoroj. Wsie budiem carami.

Zygmunt: Pójdiesz ze mną! Do głównej komendy cię każę odstawić. Jeżeli tam powiesz całą prawdę jaką wiesz, to nie będzie ci źle.

Iwan: Ta skażu wsio cztob choczetie, dacie im sała za skórú! Eta t'ma idiot' na Warszawu, bo gałodnaja, no niedaj Boch cztob przyszli.

Jan: Zygmuncie, pozwól mi, niech ja się bliżej podsunę...

Zygmunt: Janku, niebezpiecznie, później pójdziemy razem.

Jan: Proszę cię pozwól. Ty wiesz, że ja jestem ostrożny i przebiegły.

Antek: To może we dwójkę, to będzie weselej, panie poruczniku.

Zygmunt: Nie! To już lepiej idź sam! Tylko na miłość boską ostrożnie bo...

Jan: Nie bój się, a choćby mnie złapali, to pierwszej śmierci niż słowa.

Zygmunt: Obejdź tym wąwozem, a za pół godziny tam się spotkamy pod lasem. (Pokazuje na prawo od siebie).

Jan: Słucham. (Chyłkiem wysuwa się na lewo).

Zygmunt: A my naprzód! (Odchodzi: Felek, Iwan, Antek, Zygmunt i na końcu dwóch żołnierzy).

SCENA 4.

Szpieg i żyd.

Szpieg: Słyszałeś?

Żyd: Ze strachu ani słowa.

Szpieg: Ciekawych rzeczy się dowiaduję, słuszne moje obawy o powodzenie Trockiego pod Warszawą; armja wygłodzona, zagrzewani do marszu obietkami zaspokojenia głodu w Polsce i wódką. Żołnierze pewno tak na całej linii dezertują... Zaczyna mi się tu gorąco robić...

Żyd (niezrozumiawszy sensu): Fu... tak słońce piecze. (Ociera pot).

Szpieg: Poznałem tego co poszedł wąż-wozem. To ten sam, który mnie uderzył w Warszawie.

Żyd: Czemu mu pan nie wistrzelił?

Szpieg: Nie chcę robić zamieszania, bo tamci gotowi się wrócić, a patrol bolszewicki pewno też gdzieś jest niedaleko i gotowi by na postrzelać.

Żyd: Nu, to niech sobie lepi idzie do temu wozu. (Słychać turkot aeroplanu).

Szpieg: Słyszysz, to pewno ten oficer po papiery — nareszcie.

Żyd: To on się tak puszcza z aeroplanem?

Szpieg: Jedzie z głównej kwatery. — Opadli na ziemię, o idzie tu z dwoma żołnierzami.

Żyd: Skąd on wie, że pan tu a nie tam?

Szpieg: To już nasza tajemnica. Jakos jest zdenerwowany, pewno mu śpieszno.

SCENA 5.

Ciz, oficer bolszewicki i 2 żołnierzy.

Żołnierze trochę lepiej ubrani jak Iwan.

Oficer (ostro-nerwowo): Jesteś pan?— Dzień dobry! — Wszystko pan masz?

Szpieg: Po to byłem wynajęty.

Oficer: To prędzej, bo muszę zaraz wracać, za godzinę rozpocznie się atak. Lewe skrzydło posuwa się do wąwozu.

Szpieg: To was uprzedzą, bo przed chwilą widzieliśmy z ukrycia jak polski żołnierz poszedł w wąż na wywiady, gdy zauważy wasze ruchy i da znać swoim, to was uprzedzą z atakiem.

Oficer: Czy prawdę pan mówisz?

Szpieg (do żyda): No...

Żyd: Auf majne munes, pod hajrem.

Oficer (do żołnierzy w tyle): Słuchajcie...
(kończy po cicho).

Szpieg: Widzisz, oni mu teraz za mnie zapłacą, chociaż wolałbym sam się z nim rozprawić. (Żołnierze wyszli za Janem).

Oficer: Teraz do interesu, prędeż.

Szpieg (zimno): Pan oficer zdenerwowany, właśnie ja tu już czekam od godziny.

Oficer: Więc — gdzie są papiery?

Szpieg: A gdzie są pieniądze? Pan oficer wie, że ja nie jestem na miesięcznej pensji, mam płatne od czynności.

Żyd (na stronie): Nu, un jest mądrzejszy od moje Surki.

Oficer: Tak się pan obawia o pieniądze... (szuka w torbie na pr. boku). Przecież je przywiozłem, tylko w roztargnieniu...

Szpieg: Ja wiem. Dlatego przypomniałem.

Oficer: Przecież nasza armja ma dosyć pieniędzy.

Szpieg: Tylko podobno chleba ma za mało.

Oficer: To fałsz, kto to panu powiedział?

Szpieg: Przed chwilą widzieliśmy tu i słyszeliśmy, żołnierze uciekają. (zwraca się do żyda) No?

Żyd: Auf majne munes, pod hajrem — tysiącami uciekają.

Oficer: Powtarzam, że to fałsz. A zroszają... może... może się znajdzie parę parszywych owiec w stadzie, ale to się wytepi i armja bolszewicka cały świat zaleje.

Szpieg: I nasz kajzer też tak mówił, a teraz...

Żyd: A teraz ten paskudnik siedzi sobie u Holenderów i zjada nasze śledzie.

Oficer: Tu są pieniądze odliczone niemieckimi markami. Czy pan wraca do Polski? Może panu dać trochę świstków polskich?

Szpieg: Nie, dziękuję. Myślę, że tam już nie mam po co wracać.

(Za sceną słychać głosy).

Żyd: Acha! złapali mu żywemu.

Szpieg: Panie oficerze, ten żołnierz jest moim wrogiem z Warszawy, przeszkadzał mi w dostaniu tych papierów, daj mi go pan w moje ręce.

(Wprowadzają Jana).

Oficer: Ja nie mam czasu brać go do obozu! teraz wojna, on szpieg, dla takich niema sądu. Przywiązać go! (Wiążą go do drzewa w tyle). Rozpraw się pan z nim jak chcesz. Ja powiem pierwszej placówce, że ten strzał to zwykła egzekucja. Żegnaj. Za mną! (Wychodzi z żołnierzami).

Szpieg: Dostałem cię. Przypominasz mnie sobie? (Odwraca mu twarz ku sobie). Ty psie, patrz... tyś mnie ukąsił, ale i ja ci nie daruję. Co masz na swoją obronę.

Jan (splunął mu w twarz).

Szpieg (chwyta rewolwer): Ach ty psie! Żebyś miał czas to bym pasy z ciebie rwał.

Żyd: Uj! un mu zabije i będzie wojna.

Szpieg: Takiś hardy... to masz... (strzał).
A teraz w drogę. (chce iść).

Żyd: Hej! Panie! Gdzie moje 50 procentów?

Szpieg (odpycha go): Precz z drogi! Panie oficerze, czekaj pan czekaj! (turkot).

Żyd: Coby on tobie ucik, a tobie zostawił. Zostawił jemu. — A tu polaki lecą. Giwałt mamele — zabijają mnie.

SCENA 5.

Żyd, Zygmunt, Antek i 2 żołnierzy.

Zygmunt: Co się stało? Co Jan zabity? Ty psie... (2 strzały za sceną).

Żyd: Panie to nie ja, to tamten szpieg, tamten, co strzyla do aeroplanu.

Zygmunt: Chłopcy za nim! (wybiega Antek i 2 żołnierzy). Kapralu, prowadź do ataku na lewy wawoz, bo już są na wzgórzu!

(Za sceną trąbka i głos kaprala).

Głos: W imię Boże! Naprzód! (Słychać loskot, tupanie w bieg, coraz cichsze).

Zygmunt: Jasiu! Jasiu! (rozwiązuje go od dżewy).

Żyd (podaje butelkę z winem): Trochę wina.

Zygmunt: Jasiu! Jezus Marja! Jasiu, odezwij się, bo ja muszę do swoich.

Jan (unosi głowę): Pożegnaj Marję i mamę... za... kochaną... Pol... (skonał).

Zygmunt: Zanieś go do obozu, widzisz tam za górą, ja śpieszę do swoich. (wybiega).

Żyd: Ha! Nie mogę przeskoczyć, to muszę podleźć. (Podchodzi do Jana).

Żołnierz: Gdzie pan porucznik? Aeroplan spadł i znaleźliśmy papiery u zabitego oficera. — Gdzie pan porucznik?

Żyd: Poleciał do naszych.

Żołnierz: Dobrze. (Wybiega za nim).

Żyd (patrzy w kulisę): O Jehowe! O Jehowe! Dziękuję ci, co temu złodziejowi złapali.

Antek (wciąga szpiega związanego): Zabierz nieboszczyka, a ty za mną pod sąd... (Ciągnie go rubasznie).

Żyd: A ja za świadka na niemu. (Biegnie i podnosi Jana).

Kurtyna spada prędko.

Koniec odsłony 1ej, aktu II-go.

AKT DRUGI

Odłona Druga

Scena przedstawia polankę w lesie. Po lewej leżą przykryte włoki Jana na marach, po prawej namiot nieco w tyle, na froncie zaś stół polowy, na nim papiery, telefon i sztandar polski; jeden żołnierz chodzi w tyle na warcie. Zygmunt siedzi zamyślony.

SCENA 1.

Zygmunt, potem Antek z listem.

Zygmunt: Biedny Janku, nie będziesz się mógł cieszyć naszym zwycięstwem. Teraz mam wyrzuty sumienia, żem mu pozwolił iść samemu; gdyby było ich dwóch, to by się byli łatwiej obronili. Tak mi żal Marji, ona pewnie tego inie przeżyje.

Antek (wchodzi): Panie poruczniku?

Zygmunt: Co tam Antku?

Antek: List do pana porucznika.

Zygmunt: Dawaj! (Czyta w milczeniu).

Od Zosi. — Moja najdroższa. (Czyta dalej). Pocziwa, wstąpiła do Czerwonego Krzyża i pewno ją zobacze. (Czyta). Co? Matka Jana i Marja dostały pozwolenie, aby go odwie-

dzić, co? (silnie) Co? Marja z tęsknoty i żalu za Jankiem dostała lekkiego pomieszania zmysłów! (mówi) Jezus, Marja! (czyta) — Chodzi wszędzie, szuka go, wołając go po imieniu. Sądzimy, że gdy się z nim zobaczy i przekona się że Janek żyje (spogląda na Jana i mówi) Mój Boże! (czyta) to może to wpłynie dodatnio na jej rozum i przywróci ją do zmysłów. Będziemy w obozie w środę. (mówi) Więc to już dzisiaj i to jak na nieszczęście... biedna Marja... biedna jego matka... i co one tu zobaczą? Co to będzie; żeby się choć udało ukryć przed nimi jego śmierć; ale to się nie uda. Spróbuję uprosić kapitana, aby im powiedział, że Jan jest w innej okolicy, gdzie teraz nie można się dostać, a przez ten czas przysposobię... albo... sam już nie wiem co zrobić... jednak coś muszę wymyśleć aby ona go tylko nie zobaczyła na marach. (Zwraca się do Antka). Antek!

Antek: Słucham p. porucznika.

Zygmunt: Pamiętaj... zostaniesz tu przy nieboszczyku. Nie pozwalaj nikomu odkrywać go... aby go nikt nie widział z rodziny, rozumiesz?

Antek: Jakby z nut, panie poruczniku.

Zygmunt: A ty chodź ze mną. (Wychodzi z żołnierzem).

Antek: Coś pan porucznik zdenerwowany, ale nie dziwnego, tu mu najlepszego przyjaciela zabili. Żeby to jeszcze na polu bitwy, ale to ten szpion go zabił. Alem go też natłukł, bom natłukł, zanim go zaprowadziłem do kapitana. Ale to był nie lada ptaszek — papiery rządowe zwędził, mnie złodziej postrzelił i tego zabił. Ktoby to się był spodziewał, że taki wystrojony jak lalka pan, jakby z kurjera wycięty, że to był szpion Trockiego; oho, ale mu teraz będzie gorąco. W tej chwili odbywa się sąd wojenny nad nim, pewnie kula w łeb go nie minie. Żeby mnie go tak dali, to jabym mu wyprawił sąd, po jednej kiszeczce bym chorobie z żołądka wypruwał i pytałbym się czy go boli, a jak by milczał to w cyferblat. Podobno już dużo wyśpiewał przed sądem; albo ten żydzisko też kawał wisielucha, on na niemca, a niemiec na niego, przeląkł się śmierci. Powiedzieli mu, że ulżą mu karę, jeżeli przyniesie dobre wiadomości od bolszewików i on chcąc nie chcąc, zostawił tu Sarę i bachorzków a sam poszedł do bolszewików i pod wieczór ma wrócić. — Co ja widzę, pan kapitan idzie tu z dwoma paniami, to pewnie te dwie od tego nieboszczyka. O! raj, no i co ja teraz zrobię.

SCENA 2.

Antek, kapitan, matka i Zosia.

Kapitan: Gdzie pan porucznik?

Antek: Poszedł szukać pana kapitana.

Kapitan: Mnie? To dziwne, żeśmy go nie spotkali. Idź i poproś tu pana porucznika.

Antek: Pa... pa... panie kapitanie, nie mogę odejść stąd, bo mam rozkaz pilnować nieboszczyka.

Kapitan: Co? Żeby nie uciekł? Nie bój się, on już biedak nie wstanie; mam ich tu paru zuchów z dzisiejszej nocnej potyczki.

Antek: Nie to panie kapitanie, tylko żeby mu kto w gębę nie zagładnął.

Kapitan: No, no, nie bój się, ja tu zostanę z paniami.

Antek (na str.): Oj, to, to właśnie! Potrzebne jak dziura w moście. (do kapitana) Według rozkazu. (Odchodzi).

Matka: Panie kapitanie, proszę bardzo zająć się tą sprawą...

Kapitan: Tak, ja zaraz rozeszlę kilku nastu żołnierzy, aby szukali tą panią, żeby tylko nie podeszła za blisko ku bolszewiczej linji, która stąd jest niedaleko.

Zosia: A czy pan kapitan niewie, czy Jan Skwierczyński żyje i jest zdrow?

Kapitan: Powiem paniom prawdę, że jeszcze nie miałem czasu przejrzeć listę ostatnio zaginionych. Odrazu nie można odnaleźć wszystkich zabitych i rannych w takiej gęstwinie jak tutaj jest.

SCENA 3.

Ciż i żołnierz.

Żołnierz: Panie kapitanie, melduję, że potrzebują pana kapitana w kwaterze, bo za chwilę ma być wykonany wyrok śmierci na tym szpiegu, co go Antek wczoraj przypro-wadził.

Kapitan: O widzicie panie, ja nawet nie mogę znaleźć minuty czasu dla siebie, pełne ręce roboty, a to dopiero się zaczyna. Prze-praszam panie, porucznik zaraz będzie pa-niom służył. (Do żołnierza) Zostań tu z pa-niami. (Odchodzi).

Żołnierz: Według rozkazu.

Matka: Zosiu, ja mam jakieś dziwne prze-czucie... A może on?... Dlaczego jego niema, dlaczego nikt go nie zna?

Zosia: Proszę pani, Janek jest zwykłym żołnierzem, więc jego osoba ginie w masie innych żołnierzy, ale gdy Zygmunt przy-jdzie, to nas zaprowadzi do niego, może stoi

gdzie na warcie, może poszedł na wywiady... wie pani jak to jest w wojsku...

Matka (nieśmiało): Przepraszam pana, panie żołnierzu...

Żołnierz: Eeee.. co tam paniusia starsza od panów mi mówi, toć ja jestem Antka kolega po fachu, z nad Bugaja, a że teraz boso nie chodzę, bo mi w wojsku kamasze dali...

Matka: Chłopcze drogi, jesteś panem, wielkim panem... jesteś obrońcą naszej Polski, walczysz pod znakiem Orła Białego. Za-zdroszczę ci, ale ja już jestem za stara, bym mogła w czemś dopomóc naszej Polsce.

Zosia: Proszę pani, czy pani Janka nie-oddała Polsce, czy pani nie wychowała go na prawdziwego syna ojczyzny, który na pierwszy łzew poszedł, zostawiając żonę, matkę i dom i poszedł walczyć za Polskę — przecież to pani zasługa.

Matka: Nie dziecino, to nie moja zasłu-ga, spełniłam tylko obowiązek. Wszystkie matki polki powinny chować synów w tym duchu, aby w potrzebie szli bronić swej ziemi, swego sztandaru (podchodzi do sztan-daru, który leży na stole) na który czeka-liśmy tyle setek lat; ileż to krwi na niego się przelało — krwi drogiej, niewinnej; patrz

jaki on czerwony od krwi naszych synów, od krwi biednych polskich skazańców, ale widzisz, Orzeł biały pozostał czysty, srebrny, błyszczący i teraz miałoby go splamić plugawie nasienie, splamić to, co jest naszym życiem, naszym celem, cośmy wywalczyli? O, nie, nigdy, dopóki polska matka żyje i wyda prawe syny, ten orzeł nie będzie splamiony ręką świętokradcy. (Ciągnie Orła). Tak dziecko, to nie jest matak zasługą, to jest ich obowiązkiem.

Żołnierz: Prawdę pani powiedziała. Moja matka, choć sprzedaje żydom cebulę na Starym Mieście a i to powiedziała do mnie, tak: "Felek, mam cię jednego, ale idź i bij tą bolszewicką zarazę co się zmieści. Bij ich choćby cię i zabić mieli, bo tu by z ciebie i tak pożytku nie było, tylko kawał wisielca". To też, jak się zebrało na Skarbowej naszych chłopaków parę setek, jak zaśpiewali, "Kiliński był szewcem, oj podburzył Warszawę" tak i mnie o mało djabli nie porwali, ażem się rozbeczał, no i jestem...

Matka: Poczciwy! Wiem, wiem, poszliście wszyscy na zew z wiarą w Boga i zwycięstwo!

Żołnierz: I musimy zwyciężyć, byleby tylko prędzej przyszło do tej ostatecznej

bitwy, bo ten złodziej, cybularz Trocki, podobno całe chmary wojska ściąga naprzeciw nam, do zdobycia naszej kochanej Warszawy.

Zosia: Tak, tak, niezliczone tysiące wojska rozmaitej broni ściąga tu pod Warszawę, będzie straszne piekło — zwycięstwo będzie wielkim cudem.

Matka: Ale jeszcze dotychczas większej bitwy nie było?

Żołnierz: Toć niby tak wielkiej jeszcze nie było, obie strony szykują się; myśmy się tu cofnęli na ostatnią linię w porządku, ale i tak się trochę trzepią patrole; bolszewiki tak macają czy nasze tby twarde, ale jak myślę, że oni się biedy namacają. Dziś nad ranem mieliśmy duży patrol bolszewicki...

Obie: No i co, i co?

Żołnierz: Naszych kilku padło, ale ich to już nie miał kto nazad zanieść. Ale proszę pani na wojnie to człek się nawet nie spodziewa kiedy i jak zginie, naprzykład tu jeden leży, którego zastrzelił zwykły szpieg. Antek go złapał i przed chwilą rozstrzelali go, ale co to temu biedakowi pomoże.

Zosia. Biedak... już swoich więcej nie zobaczy.

Matka: Bohater, czy też się o nim rodzina dowie? (odkrywa go) Co? (struchlała).

Zosia: Jezus, Marja! Janek! (płacze).

Matka: Janku! Mój synu drogi! Czemuż ja cię nie mogłam widzieć żywego?... O, Boże, czyżbyś ty... (zatrzymała się, otarła łzy — zakrywa go całując). Śpij w spokoju, aby Matka Częstochowska przyjęła cię do siebie. Szczęśliwy — on spełnił już swój obowiązek.

Zosia: Ale pani! Co będzie gdy go Marja zobaczy?

Matka: Prawda, zapomniałam na śmierć o tej biedacze. Żeby Zygmunt przyszedł prędzej, bo ja już teraz sama nie wiem, co mam robić.

Zosia (rozgląda się): Zygmunt biegnie!

SCENA 4.

Ciż i Zygmunt.

Zygmunt (ściska Zosię): Najdroższa! Ale co ci jest? Czego płaczesz, co się stało? Witam panią. (całuje matkę w rękę). Obie płaczecie? Czyżby?... (spojrzał na nie i na Jana).

Matka: Już go pożegnałam Zygmuncie, oddałam go na ofiarę ojczyźnie, teraz bym chciała Marję uratować, pomóż nam.

Zosia: Zygmuncie drogi, jakaż jam szczęśliwa, już przy tobie zostanę. (pokazuje mu czerwony krzyż na rękawie). Patrzaj! Będę

cię pilnować do ostatka, razem z tobą, na śmierć lub życie.

Zygmunt: Nieopuszczę cię... Ale teraz do rady. — Dobrze, że panie nie przyprowadziły tu Marję, ona by tego nie przeżyła.

Matka: Właśnie z Marją mamy kłopot.

Zygmunt: Dlaczego?

Matka: Gdyśmy się meldowały w kowodzie, ona została przed namiotem, i gdyśmy wyszły po kilku minutach, już jej nie było. Pewnie poszła go szukać i zginęła w lesie.

Zygmunt: Musimy ją prędko szukać — chodźmy.

Matka: Prosiłam kapitana, on rozesał żołnierzy. — Zygmuncie, czy pozwolą mi zabrać ten mój skarb do domu? (Wskazuje na Janka).

Zygmunt: Napewno, ale chodźmy szukać Marji.

Matka (całuje Jana): Powrócę tu po ciebie, moje dziecię. (Wychodzi z Zosią za Zygmuntem).

Zosia (odchodząc): Biedny... A ona? Stokroć biedniejsza.

(Żołnierz wychodzi za nimi).

(Chwilę pauza. — Muzyka gra cicho "Patrz Kościuszkę na nas z nieba". — Po chwili wchodzi Marja, z rozpuszczonemi włosami).

sami, mówiąc monotonnym głosem, rozglądając się w około).

Marja: Janku, Jasiu mój, tak dawno cię szukam i ani słówkiem się nie odezwiesz do swej żony. A zawsze mówiłeś mi że tylko mnie kochasz... I gdzie on poszedł? (Pauza) Prawda, poszedł walczyć, mój luby żołnierz. (Uśmiecha się). Będzie walczył bohatersko i powróci do mnie... powróci... powróci?... (Zrywa się). Powróci? (silnie) Nie! On już nie wróci, poszedł w piekło bolszewickie, (słabnie) On nie wróci... a ja... ja go już tak dawno nie widziałam... Szukam go... a on się nie odzywa wcale, on nie słyszy mnie. (Siada na marach). Poniosą go na marach, dzwony zadzwonią w kościele św. Krzyża i mój Janek będzie bohaterem, takim jak ten tu (odkrywa go — nagle zrywa się i krzyczy przerażona). Janku!! (rzuca się na niego. — pauza — Po chwili unosi spokojnie głowę, rozgląda się, klęcząc obok niego). Jaka cisza dokoła, boją się go przebudzić... a on śpi tak spokojnie, śpi i śni o swej żonusi, o swej Marji... — Niedobry... nie troszczy się więcej o mnie. — A ja wiedziałam, że cię znajdę, a tyś się ukrywał przedemną na marach. (cofa się przerażona). On na marach! (znowu rzuca się z krzykiem). Oh! — (Po

chwili ciszy zrezygnowany śmiech warjacji). Ha! ha! ha! — A gdzież nasze szczęście, o którym mażyliśmy wspólnie (pieszczotliwie) a gdzież nasze gniazdeczko, nasza kolebka. (Tuli się do niego gładząc jego czoło). A czy wiesz Janku... ja ci jeszcze nie mówiłam, ale ja ci się przyznam... że ja już, pokryjomu przed tobą uszyłam dla niego malutkie koszulki i kaftaniki. (Wyjmuje z za gorsu i całuje małą koszulkę niemowlęcia). Jasiu mój! Już niedługo, a będzie nasze szczęście. (Coraz ciszej). Gdy przyjdzie, to go razem ukołyszemy do snu aaa... aaa... aaa...

(Muzyka zmienia się. Marja zaczyna śpiewać powoli i cicho).

Śpij dziecino — śpij jedyna

To mateczka twa.

Śpij sokole złotowłosa,

Choć tam bitwa trwa.

SCENA 5.

(Powoli wchodzi: Matka, Zosia, Zygmunt, Antek i jeden żołnierz. — Matka chce podejść ku niej, lecz Zygmunt ją zatrzymuje i daje znaki żołnierzom, aby publiczność zrozumiała, że mają go wynieść).

Marja (dalej nuci):

A gdy tatuś twój powróci,

I uściska cię,

Wtedy pozna szczęście nasze
I dzieciątko swe.

(**Jakby kołysała małe dziecię**).

Śpij dziecińo, śpij jedyna

To mateczka twa.

Śpij sokole złotowłoso,

Choć tam bitwa trwa.

W czasie ostatniej zwrotki, matka unosi
Marję i powoli wyprowadzają ją ze śpiewem.
Żołnierze podchodzą do mar i biorą Jana.

Kurtyna powoli opada.

Koniec 2-ej odsłony, aktu II-go.

AKT TRZECI

(Przed główną kontrofensywą Gen. Hallera, dnia 4-go sierpnia. Scena przedstawia polską placówkę w lesie. Za podniesieniem kurtyny Antek, Felek i inni żołnierze grają w karty, inni czyszczą broń. — Zygmunt wchodzi swobodnie, żołnierze zrywają się).

Zygmunt: Siedźcie, siedźcie chłopcy i wam się należy chwila odpoczynku... grajcie dalej (siada obok **Antka**). Antoś, daj mi zapałkę.

Antek: Służę panie poruczniku (zapala). Ale ja myślę, że tego odpoczynku już jest

dosyć, siedzimy prawie że beczymnie. Żeby te juhy już co zaczęły.

Zygmunt: Hm... Widzisz chłopcze, ty może nawet nie wiesz, że my się teraz znajdujemy w pozycji nie do zdobycia. Cała armja Gen. Hallera okopała się silnie w kącie jaki tworzy zlew rzek Narwi i Bugu i tu właśnie można powstrzymać najsilniejszego wroga, co jest dowiedzione z kampanji napoleońskiej w roku 1807 oraz w wojnie polskiej w roku 1831. Obecnie nasze stanowisko jest bezpieczne i nie oni, a my stąd wyruszymy na nich, aby im zadać ostatnią klęskę.

Antek: Aby prędzej, bo już trudno wytrzymać.

Zygmunt: Nie śpiesz się, bo jeszcze i tobie mogą niechęcy skórę przetrzepać.

Antek: Fiu! Panie poruczniku, czy mi to nowina, czy nie wiem jak te hycle kacapy biją, mało to mnie natłukli w cyrkule... Toć miałem 14 lat jak mnie złapali na Nowym Świecie, to mnie na Pawjaku trzymali przez 4 dni, a co mnie się natłukli, niechże ich choroba, alem i tak nie powiedział.

Zygmunt: A o co im się rozchodziło?

Antek: A toć to przez tą pokrakę, moja siostrę Mańkę. — Niby nie całkiem pokraka.

bo dziewczucha jak lalka, to też wpadła w oko jednemu studentowi i przypętał się do niej, a ona do niego też... a jakże... no i chodzili razem. A on — pan porucznik wie — był pepsowcem, szpicle go złapali na ulicy bo mieli donos, a Mańka widząc jak go biorą, poleciała do jego mieszkania i wyniosła wszystką bibułę jaką miał w komodzie, nim policja wpadła do jego mieszkania i zaniosiła ją do ślepej ciotki na Towarowej i sama tam została. Ja jej nawet pomagałem dźwigać tą walizę na strych. Szpicle ją śledzili, lecz nie mogli ją znaleźć, a od matki się nie dowiedzieli, bo widzieli wszyscy, że matka wtedy siedziała w kramiku na gorących węglach i o niczem nie wiedziała. Bo wie pan porucznik, moja matka jest bardzo interesowna kobita, sprzedaje igły, guziki, naparstki — wie p. porucznik — damską galanterję, więc oni mnie capnęli. Ale o... kolkę w bok... Mańkę nie znaleźli, mnie co nabili, to nabili, ale wypuścili, bo wiedzieli że nic z tego, a i tego biedaka po dwóch miesiącach wypuścili, no bo nie mieli dowodów na niego, dzięki Mańce — ot i cała historia.

Zygmunt: Słyszałem ja dużo o was — dzielni jesteście.

Żołnierz: Panie poruczniku, jakiś cywilny.

Antek: Jaki ci tam znowu cywilny. To idzie nasz Judasz od bolszewików.

Zygmunt: Jednak wrócił, przyprowadźcie go tutaj.

SCENA 2.

Ciż i żyd.

Żyd: Aj waj! Oj! Ledwo że idę. — Dajcie wody. (podają mu). Uciekłem im.

Zygmunt: Masz jakie wiadomości?

Żyd: Wiadomości — nowości całą kupę. Te złodzieje bolszewiki nie chcieli mi wypuścić. Ja widział samemu Trockiemu, un wipitywał mi się dużo, tak dużo, ale wim dla was jeszcze więcej. Trocki powiedział co un chce i musi być w Warszawy za 4 dni to niby 9-go sierpnia.

Antek: Chyba jak będzie żydowski kalendarz.

Zygmunt: Dobrze, dobrze, chodź do kapitana.

Żyd: Panie oficer, a co z moje Sare i moje dziecki?

Zygmunt: Odesłałem do Warszawy, są pod dobrą opieką i jeżeli powiesz prawdę i dużo cennych nowin dla komendy, to cię zaraz odeszlemy do Warszawy i będziesz wolny razem ze swoją Sarą. — Chodź teraz! (Odchodzą).

Żyd: O moje kochane Warszawie i moje Sare, ja już tobie widzę. Oj co ja wim, co ja wim! Ja wam tylko tyle powiadam, co się macie szykować na wielki bitwy. (Odchodzi za Zygmuntem).

Żołnierz: O to ci kasztan. Jaki on wierny kiedy wrócił.

Antek: Idźże frajer! On nie do nas wrócił, ale do swej Sary. Przecież to wszystko co ma najdroższego na świecie.

Żołnierz: Ale mówił żebyśmy się szykowali. Pewnie on coś wie.

Antek: Pewnie że wie, przecież od nich przyszedł, a przed naszymi nie wykręci się byle czem. (Potrząsa karabinem). O, mój ty przyjacielu nieodstępny, teraz się dopiero przycisnę do piersi, aż zapiszczysz. (Całuje karabin). Żebym się tylko za ciebie nie powstydział. — A to co? Kapitan z porucznikiem biegną tu co tchu, pewnie coś ważnego. (Stają w tyle).

SCENA 3.

Ciż kapitan i Zygmunt.

(Kapitan obserwuje przez szkła w stronę skąd żyd przyszedł, a porucznik chwytą za telefon).

Zygmunt: Kwatery Jenerała Hallera?

Kapitan (nie odwracając się, mówi spostrzeżenia): Żyd prawdę mówił...

Zygmunt (powtarza każde jego zdanie do telefonu): Żyd prawdę mówił...

Kapitan: Na całej linii ożywienie...

Zygmunt: Na całej linii ożywienie...

(Antka twarz rozpromienia się).

Kapitan: Posuwa się ku nam czarna masa jak mrowie.

Zygmunt: Posuwa się ku na czarna masa jak mrowie.

Kapitan: Opinja...

Zygmunt: Opinja...

Kapitan: Tylko natychmiast atak na lewe skrzydło...

Zygmunt: Tylko natychmiast atak na lewe skrzydło...

Antek (w zapale): Psia krew, doczekałem się. O Matko Boska wspomogaj! (Potrząsa karabinem).

Zygmunt: Słucham, słucham. (zwraca się do kapitana). Panie kapitanie, jenerał wzywa pana natychmiast.

Kapitan: Już biegnę... (wybiega).

Porucznik (do telefonu): Już pobiegł. (czeka przy telefonie).

Antek (z radością): Panie poruczniku, to...

Zygmunt (nie odwracając się, daje znak milczenia): Cyt...

Antek (nie może ustać z radości, biega w tyle, nie mogąc się doczekać): Panie por...

Żołnierz (uderza go bok): Zamknij że jadaczkę.

Antek (w zapale chwyta go za głowę): Felek, jak pragnę Boga, bo ci nos ugryzę z radości. (Słysząc huk armat w dali).

Antek: Acha! zaczynają panie por... (zatyka sobie usta).

Zygmunt (do telefonu): Słucham, według rozkazu panie jenerale. (zawiesza słuchawkę). Chłopcy, idziemy do ataku na lewe skrzydło, mój szwadron na pierwszy ogień, prędzej! (daje znak ręką aby wyszli — Antek wybiega. Słysząc huk armat silniejszy, granaty pękają blisko).

Zygmunt (krzyczy za scenę): Szwadron szykuj się do boju! (Za sceną wrzawa, on zbiera papiery ze stołu i chowa za mundur).

Żołnierz (wbiega i chwyta sztandar): W imię Boga... (wybiega — granaty pękają).

SCENA 4.

Zygmunt i Zosia, jako siostra Czer. Krzyża.

Zosia (wbiega): Zygmuncie, już tu granaty pękają!

Zygmunt: Zosiu, idź na tyły, w bezpieczne miejsce, ja muszę iść z moimi zuchami. Bądź zdrowa. (Całuje ją).

Zosia: Nie, ja idę zaraz za twoim szwadronem, nieopuszczę cię. (Granat pęka — rani Zygmunta w lewe ramię).

Zygmunt: Ach! to za wcześnie. (chwyta się za ramię).

Zosia: Boże! tyś ranny. (w kulisy) Pomocy!

Antek (wbiega): Wszystko gotowe. — Co, pan porucznik ranny?

Zygmunt: Chłopcze, prowadź szwadron, ja podążę za wami.

Antek (krzyczy): Wiara, pan porucznik ranny, pójdzie za nami! Jezus, Marja! — Naprzód do ataku! (wielkie zamieszanie — wrzawa, tupot, trąbki, granaty pękają na scenie, Zosia wyprowadza Zygmunta).

Kurtyna spada ostro.

UWAGA: — Cała ostatnia scena od wejścia Zygmunta z kapitanem musi być nerwowo-gorączkowa — wielki zapal, u Antka równający się z szałem.

AKT CZWARTY

Rzecz dzieje się w Warszawie, dnia 15-go sierpnia 1920 r., w mieszkaniu pani Skwierczyńskiej. Za podniesieniem kurtyny, Zygmunt siedzi na fotelu, ma lewą rękę obandażowaną do łokcia, którą trzyma na temblaku i głowę ma zawiniętą bandażem. W dali huk armat.

SCENA 1.

Zygmunt (czyta Kurjer): Polskie oddziały odebrały bolszewikom Brody i wypędziły ich z Radziwiłłowa. — Około Brodów nieprzyjaciel przysposabia atak na wschód. Po między rzekami Strypa i Seret, wojska polskie pobiły bolszewików, odrzucając ich w tył, zabierając 400 jeńców, łącznie z całym sztabem pułkowym i zabrano kilkanaście karabinów maszynowych. (mówi). No zdaje się, że karta szczęścia odwróciła się na naszą korzyść. Z każdego odcinku coraz to lepsze wiadomości, biją ich co się zmieści; ach jak ja jestem wściekły, że nie mogę być tam z nimi, ale cóż, 9-go sierpnia zostałem ranny odłamkami granatu w głowę i w rękę, chociaż mi się jeszcze i pierwsza rana w ramieniu nie zagoiła, lecz mimo ran doprowadziłem moich chłopców aż za okopy nie-

przyjacielskie. Mój Boże, jakże się oni bili, co to za dzielne zuchy, czy też który z nich powroci? Jestem pewny, że Antoś jeżeli ocalał, to do dziś dnia już pewno awansował. A Zosia kochana pozostała tam jeszcze. Prosiłem ją żeby uważała na siebie, już trzy dni nie miałem listu od niej, ale czyż ona biedaczka ma tam czas nawet myśleć o mnie.

SCENA 2.

Zygmunt i Marja (wchodzi z boku).

Marja: Czy jeszcze go niema? Jeszcze nie powrócił?

Zygmunt: Nie pani Marjo, jeszcze nie.

Marja: To okropne, tyle męczarni w tym oczekiwaniu. (Wychodzi na drugą stronę).

Zygmunt: Biedna, i tak ciągle, sto razy na dzień, nic więcej innego nie mówi, tylko te słowa. Nikogo nie poznaje, nawet matki.

SCENA 3.

Zygmunt i Matka (z gazetą).

Matka (uradowana): Zyguncie, drogi Zyguncie, czytaj i ciesz się. Nasi zwyciężają. Oto ostatnia wiadomość z frontu naszego.

Zygmunt (czyta): Z frontu polskiego 15 sierpnia. Cała bolszewicka linja złamana,

wojska uciekają w popłochu, pułki dzielnej armji polskiej popędziły za nimi w pogoń, zabierając co chwilę liczne niewolniki. Armaty polskie grają na drodze Radzymin-Wyszków. Polacy odebrali też w Galicji Włodzimierz Wołyński, Tarnopol i cały szereg miejscowości na wschód od górnego Bugu, pędząc wroga z kraju, który ucieka w panice. Ogółem bolszewicy utracili 7 dywizji. (mówi). Chwała Bogu wszechmogącemu! Warszawa ocalona i Polska dała raz na zawsze nauczkę Rosji, aby się nie łakomili na to, co nie dla nich. Będzie to dobrą nauką dla innych wrogów, którzy ostrzą zęby w stronę Polski, a jest ich dosyć.

SCENA 4.

Ciż i żyd.

Żyd puka.

Matka: Któż to może być? Proszę!

Żyd (wchodzi i kłania się): Ny, nareszcie ja pana znalazłem. Ja przeczytał w raporcie co pan porucznik ciężko ranny i odesłany do stolicy, to ja cały dzień i noc szukał, aż panu znalazłem.

Zygmunt: A co się stało?

Żyd: Jakto? Pan porucznik nie pamięta? A kto mi życie uratował, jak nie pan, a kto

dał kapitanowi myśl, coby mnie posłać do bolszewiki, jak nie pan? Kikste, ja uczczywy polski żydek, poszedłem, wróciłem i ocalałem szebie i moje Sare (rozczuła się) i moje bachorki, pan mnie uratował, bo pan ma polskie serce, a ja kocham Polskę i polaki, jak swoich własnych.

Matka: Wierzę wam, są dobre dusze w każdym narodzie, lecz są i Judasze.

Żyd: Ja jemu nie jestem — broń Boże! Ja nie jestem bogaty, ale ja panu przyniosłem mały butelki wina — Tokaj — ja wiem co ono się przyda, a może i nie długo.

Zygmunt: Dziękuję wam bardzo, może się przyda.

Matka: Proszę, niech pan siada.

Żyd: Dziękuję pani bardzo. (siada). — Czy szłyszeli państwo co się dzieje? Jakie nasze wielkie kochane wojska wyprawili im smarowanie, kacapy uciekają gdzie pieprz rośnie, a nasze wojsko ich goni...

Zygmunt: Właśnie czytałem ostatnie telegramy z frontu.

Żyd: Ale pan pewnie tego nie czytał, co niektóre wojska już wracają do Warszawy na odpoczynek...

Zygmunt: Czyżby?...

Żyd: Pod hajrem... sam widziałem jak

pociągi zajeżdżają jeden za drugim. A jakie to wszystko zakurzone, a jakie wesołe!

Matka: Kochani bohaterzy. — Zygmsiu to pewnie i Zosia powróci.

Zygmunt: Jeżeli żyje, to pewnie dziś wróci, a najdalej jutro rano.

SCENA 5.

Ciż i Antek.

Antek (wchodzi zakurzony w randze porucznika): Panie poruczniku! (pauza) — Serwus.

Zygmunt (zrywa się): Antoś! Jezus Marja! (ściska go) Wróciłeś, cały, nie ranny? Wierny przyjacielu. (ściska go).

Matka: Synu ojczyzny, bohaterze, pozwól mi ucałować twoją głowę błogosławioną. (całuje go) Matka Najświętsza ocaliła cię.

Antek: O! i Abramek tu jest, jak się macie? (podaje mu rękę).

Żyd: Ja poznaję pana; pan szczęśliwy co pan wyszedł cało z takiego piekła.

Zygmunt: Puścili was? Na stałe? A gdzie panna Zofja? Co z nią się dzieje?

Antek: Aha! tu pana boli, nie mógł pan wytrzymać bez tej wiadomości.

Zygmunt: Antku, ty zawsze żartujesz a ja cierpię.

Antek: Niech się pan nie boi, to nic i panienka trochę cierpiała.

Zygmunt i Matka (razem): Co się stało? Ranna?

Antek: Troszeczkę; przestrzelili jej prawy muskuł, ale już prawie zagojone.

Zygmunt: Ale kość nie naruszona?

Antek: Wcałe.

Matka: Gdzież jest ona teraz?

Antek: Już w Warszawie, tylko musiała wpierv pójść na opatrunek, bo się jej bandarz złuzował w pociągu, a pan porucznik wie, że takie prawo wojenne, nie puszcza rannego do domu, aż po opatrunku.

Zygmunt: Żebym wiedział w którym miejscu jest to poszedłbym natychmiast.

Żyd: Niech jej pan pozwoli, coby ona panu zrobiła niespodziewanki: co to panu szkodzi poczekać jeszcze pół godzinki.

Antek: Panienki tylko co patrzeć.

Zygmunt: Opowiedz nam kiedy ją ranili.

Antek: W parę dni po pańskim odjeździe, rozpoczęliśmy kontrofensywę na całej linii. Tak jak pan prosił kapitana, tak i zrobili. Kazano mi prowadzić pana porucznika szwadron; panie poruczniku, co to było za żniwo, aż człowieka chęć bierze jeszcze raz tam iść aby się tak bić. Zuchy co do jednego;

kilkunastu padło mi. Byliśmy w ogniu dwa dni i jedną noc bez odpoczynku, bez kropli wody w ustach i dziś rano kiedyśmy zaczęły na dobre pędzić całą linię bolszewicką, przysłyły nowe wypoczęte pułki, które nas zastąpiły i poszły zaraz do ataku jak piorun z jasnego nieba, niszcząc wszystko, każdą zaporę. Nie straszny był dla nich grad kul, żywego ognia i pękające granaty — cudem uchodzili śmierci — szli naprzód z wiarą po zwycięstwo. Dziś 15 sierpnia 1920 roku, spotkał bolszewików los Marny pod Warszawą. Cudem trzeba nazwać to zwycięstwo. — Żałujcie moje państwo, żeście na własne oczy nie mogli oglądać, jak to plugawe plemie uciekało w panice z nad Wisły.

Matka: Ma pan rację, w dniu dzisiejszym Polska doznała "Cudu nad Wisłą", dzięki jej dzielnym bohaterom, dzięki dzielnemu dowództwu.

SCENA 6.

Ciż i Zosia, potem Marja.

Zosia (ma rękę na temblaku, wchodzi uradowana): Witajcie!

Wszyscy: Bohaterka!

Zygmunt: O, najdroższa!

Zosia: Kochany Zyguncie! (uścisk).

Żyd: Niech nam żyją!

Wszyscy: Niech żyją bohaterzy!

Zosia: Kochana Pani Skwierczyńska! (Uścisk, Marja chodzi i staje w tyle).

Matka: Dziecię moje, ileż radości dzisiaj w mojem sercu, widzę was wszystkich szczęśliwych, cieszy się z wami, tylko mój Janek... (Ociera zły).

Zosia: Pani droga, będziemy się starali osłodzić ci życie, jak twoje własne dzieci. Uspokój się mateczko. (Spostrzega Marję). Marjo kochana, Marjo! (Całuje ją i wpatruje się w nieruchomą).

Matka: Ona biedna nikogo nie poznaje, nawet mnie. (Ociera zły).

Zosia: Biedna, nieszczęśliwa. (prowadzi ją do kanapy, sadza i pieści). (Silne pukanie, wszyscy patrzą ku drzwiom).

SCENA 7.

Wchodzi kapitan z żołnierzami. Muzyka gra "Boże coś Polskę".

Kapitan: Witajcie bohaterzy i bohaterki, bo każdy z was tu w tym domu niósł daninę na ofiarny ołtarz swej matce Polsce. Wszyskim wam cześć! — Od wieków legenda niosła wieść o śpiących rycerzach polskich,

i dziś gdy Ojczyzna była w przededniu ostatecznej zguby, pułki rycerzy śpiących powstały i stanęły jak jeden mąż, poszły w pole owiane cudem i wiarą, gotowe do największych ofiar, poszły na śmierć i życie. Poszedł cały nasz naród polski i zwyciężył hordę bolszewicką pod Warszawą, która jak cna waliła od Radzimina. Rozszalała walka, w której to padło wielu naszych, w której padł zacny kapelan X dywizji, ksiądz Ignacy Skorupka. Krew ich wstrzymała nawałę wroga i nieprzepuściła go przez Wisłę. Pod Płockiem i Dęblinem pękł napór bolszewicki i odwrót ich z pod murów Warszawy, zamienił się w paniczną ucieczkę. Z otchłani kłęski, wydobył się naród polski. Był to jeden wielki "Cud nad Wisłą". **(Muzyka przestaje grać)**. Ale Polska nie zapomniała o swych bohaterach... oto **(wyjmuje raport i czyta)** Pan porucznik Zygmunt Skalski, zaraz po wyzdrowieniu stawi się do swej komendy po odznaczenie. Panna Zofja Miluszevska proszona również o stawienie się do komendy wojskowej, jak również pan porucznik Antoni Wolski. Pani Janina Skwierczyńska również — i jest jeden, który tu nie może być obecny, pan... Jan... Skwierczyński...

Marja (zrywa się): Kto mówi o Janku... gdzie on jest, powiedźcie, proszę was!

Matka: Córkę droga, uspokój się. **(tuli ją)**.

Kapitan: Pani, komenda rozumie ileś przecierpiała i ileś straciła, jak wielką poniosłaś ofiarę dla ojczyzny, dlatego mam ten honor w imieniu Rządu polskiego wręczyć pani, jako żonie poległego Jana Skwierczyńskiego, ten oto order Orła Białego. **(Podaje jej order)**.

Marja (powoli bierze): To... to... od niego... od mego Janka... on mnie to przesyła na pamiątkę naszego rozstania? Kochany Januś... **(przyciska usta do orderu)**. Orzeł Biały, on mi tyle mówił o Orle Białym, on go tak kochał i mnie kochał i poszedł i nas zostawił. **(Z pieszczotą do orła)**. Mój ty Jasiu... **(powoli jakby sobie coś przypomniawszy)** On poszedł, bo go wezwali. **(Rozgląda się po wszystkich. — Długa pauza)**.

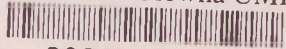
Matka (z wiarą): Matko Najświętsza, dopomóż jej.

Marja: Orzeł Biały. **(Silnie)**. On poszedł walczyć za niego! Mamo! Mamo! ja pamiętam. **(Rzuca się w ramiona matce)**.

(Antek i żyd wyszli po kieliszki).

Matka: Dzięki Bogu! Dziecko kochane! **(Prowadzi ją osłabioną do kanapy)**.

301
Biblioteka Główna UMK



300043342879

Zosia: Maniu najdroższa, już cię nigdy nie opuścimy, aż do śmierci.

Kapitan: Widzę, że Orzeł Biały cuda czyni. Wielka dziś uroczystość dla tego domu. Nasi pradziadowie zawsze winem i miodem oblewali, szkoda żem ja...

Żyd (wchodzi): Już ja wiedziałem, że to będzie potrzebne.

Zygmunt: Abramek mi to przyniósł z wdzięczności.

Kapitan: A więc wzniesmy toast na cześć Polski i jej bohaterów (wznosi kielich). Niech żyją!

Wszyscy: Niech żyją!

ŚPIEW.

Oto dziś dzień krwi i chwały i t. d.

Kurtyna spada powoli.

Chicago, Ill., dnia 9 września 1925 roku.
napisane w piątą rocznicę: "Cudu nad Wisłą".

J. S. Zieliński, autor.

UWAGA: — Po specjalne wskazówki uscenizowania, lub sytuacji, towarzystwa mogą się zgłaszać do samego autora, Adres do wiedzieć się w Księgarni p. Sajewskiego.

— 64 —



Biblioteka Główna UMK



300043342879

Arch. Emigracji
Biblioteka

Główna
UMK Toruń

940744